

Kronika tygodniowa.

I wysłuchały niebios gorących próżb Krakowian, pozbawionych swej codziennej lektury i dały im aż dwa *Kurjery*, jeden „codzienny ilustrowany“, drugi „nowy krakowski“. Dopóki istniał tylko jeden, było wszystko w porządku, gdy jednak i drugi zapragnął oglądać światło dzienne, pokazało się, że zadużo dwa grzyby w barszcz. Warszawa ma wprawdzie i *Kurjera warszawskiego* i *porannego* i *święteckiego* i wszystkim jakoś dobrze na świecie, ale co Warszawa, to nie Kraków. Tutaj na dwa *Kurjery* miejsca za mało, a kieszenie Krakowian są zbyt ciasne.

Nie też dziwno, że stary nasz znajomy *Ilustrowany Kurjer codzienny*, zaledwie obudził się ze snu, który zdawało się, będzie wiecznym widząc noworodka, mającego te same, co i on, zamiary i to samo nawet, bo tylko z dodatkiem „*Nowy krakowski*“ nazwisko, chwycił się z nim z miejsca za bary i stanął do bratobójczej walki, nie pomnąc na zasadę: „gdyś sam już syty, nie bruć drugiemu dostępu do misy“ zwłaszcza, że dla obu wystarczy.

Zaskrępiły więc pióra, odezwał się szcęk nożyc dziennikarskich Krakowianie podzielili się na dwa obozy: „*Kuryerowiczów* codziennych ilustrowanych“ i „*nowych krakowskich*“. I kto wie, czy prócz atramentu nie byłaby się i krew bratnia polala, zwłaszcza, że równocześnie widzialne były różne nadzwyczajne znaki na ziemi i niebie, jak aeroplan, syjący kartki z zaproszeniem do podpisywania ósmej pożyczki wojennej (nieoświecony tłum był zdania, że to smok latający...), w Pradze skradziono publiczny... wychodek, a nawet Piawa wystąpiła z brzegów. Dzięki Bogu przecież skńczyło się na niczem, Kraków stoi na tem samem miejscu, na którym stał wtedy, gdy miał jednego tylko *Kurjera*, co najwyżej zaś drugiemu każą zaraz po urodzeniu zmienić nazwisko, co jest zresztą rzeczą zwykłą, prawie codziennie się powtarzającą i to nie tylko u nas w Galicji, ale i w sąsiednich dzielnicach. Czytamy naprzykład w *Dzienniku poznajskim* (sam to widziałem na własne swe oczy...) iż odnośna władza zezwoliła pannie *Stanisławie Pierdnioł* zmienić nazwisko rodowe na *Eisermann*.

Tak się stanie czy inaczej, jeszcze nie wiem. Powstanie *Nowego Kurjera* a po nim podobno jeszcze jakiegoś tam *Nowego Dziennika* zadaje przecież kłam rozsiewanym wieściom o braku papieru. Że go nie brak, świadczy o tem taka moc papierowych pieniędzy, oraz wydawanie kart chlebowych, tłuszczowych, kawowych, mydlanych i innych. Marnie się w ten sposób mać papieru i niepotrzebnie zabiera się czas różnym urzędnikom i urzędniczkom, zajętym ich rozdziałem. Czyż nie byłoby i lepiej i korzystniej, gdyby zamiast tego czytali sobie gazetę, bawili się rozmową, niechajby nawet flirtem, lub czyścili paznokcie...

Jakiś ekonomista, nie wiem nawet z którego pisma codziennego, powiada, że na usunięcie przykrych następstw braku papieru jest rada. Należy w pierwszym rzędzie zamiast pieniędzy papierowych wydawać złoto i srebro, zabronić wyrobu materii ubraniowych z papieru, skoro jest od tego bawełna i wełna i tak dalej i dalej, czego jednak powtarzać nie mogę, gdyż kronika tygodniowa nie jest traktatem ekonomicznym. Jeżeli się pójdzie za jego wskazówkami, wystarczy papieru nie tylko dla dwu *Kurjerów* w Krakowie ale nawet dla całego ich tuzina. Niech się mnożą, jak grzyby po deszczu, by gospodarne panie miały pod ręką papier do celów praktycznych, choć pojawienie się tylu kolegów (i konkurentów... przyp. zecera) byłoby może nie na rękę, a tembardziej i nie na kieszeń pocziwemu *Ilustrowanemu codziennemu*, bo to, a nie co innego, jest właśnie powodem owej krucjaty, jaką „codzienny“ rozpoczyna przeciw „nowemu“.

Kto zwycięży i na jakie obozy podzieli się Kraków, przyszłość to okaże. Kronikarz zapytywał o zdanie w tym kierunku nawet owego miejskiego astrologa, który w gwiazdach czyta i wie o tem, co było i jest, a nawet czasem i o tem co będzie, ten mu jednak nie mógł dać żadnej konkretnej odpowiedzi. Zaznaczył tylko tajemniczo, że między 12 a 24 czerwca zdarzą się wypadki, które wpłyną na zmianę sytuacji, ma się to zaś stać przy łaskawej pomocy ognia i wody.

Ponieważ ów astrolog jest funkcjonaryszem magistratu, ma więc nad sobą przełożonych, ci zaś nie lubią żartować. Niech będzie zatem ostrożny, jeśli się bowiem nie spełni która z jego przepowiedni, może się bardzo łatwo doczekać dyscyplinarki lub czegoś podobnego.

Bardzo żaluję, że nie znam bliższego jego adresu, prosiłbym go bowiem, by swe prorocтва mnie komunikował, a ja, ubrawszy je należyście w słowa, puszczalbym je dalej w świat szeroki. Wiedziałby o nich więc i ogół, gdy na razie tylko urzędnicy magistratu

i ich koleżanki powtarzają je sobie półgębkiem, zapewniając, że dotąd spełniły się co do joty.

Kto wie, czy magistrat w danym wypadku nie pomyślałby nawet o kreowaniu etatowej posady miejskiego astrologa, który jednak musiałby wówczas tak przepowiadać, jak mu każą, by się nie narażać na pociągnięcie do odpowiedzialności.

W każdym razie jest to sprawa pierwszorzędного znaczenia i dlatego jej poświęcam odpowiednią wzmiankę.

Niejednokrotnie już zaznaczałem, że obecna wojna, choćby tylko ze względu na swą długość, tak już ludziom wylał boki, iż prawie każdy na nią narzeka, choć czyni to w innym, niż drugi tonie, i z zupełnie innej platformy zpatrując się na sytuację. Stowem, każdy i każda ma innego mola wojennego, co ich gryzie. Nigdy przecież nie zdarzyło mi się spotkać tylną na wojnę płaczących, co onegdaj. Jakby się zmówili, ten i ów wywodził przedemną swe żale, a ja musiałem ich wysłuchać cierpliwie.

W pierwszym więc rzędzie wielki agraryusz jęczał, że w takiej opresji, w jakiej się znalazł obecnie, nie był nigdy od swego nrodzenia. Powiadał, że na biednych „woznojków“ wszystko się spiknęło, by im życie obrzydzić, poczynawszy od rządu i różnych centrów, a skończywszy na zwykłych zjadaczach codziennego, bezkartkowego chleba, skazanych na to, by się u nich zaopatrywali w różne artykuły spożywcze, wobec czego choć zrósł się z ziemią, którą uprawia, rzuci wszystko, a przeniesie się do miasta, gdzie w wojennym czasie, „z oszczędności“, zakupił już dwie kamienice, a teraz traktuje o trzecią. Spodziewa się, że tutaj wypocznie, gdyż, jak sam twierdzi, gospodarstwo rolne dziś się nie opłaca.

Te narzekania jakoś mi się wydawały dziwnymi wobec płaczów moga kamienicznika na garbaty los i ciężką dolę. W rozmowie ze mną wyraził się, że „kogo Pan Bóg chce ukarać za grzechy“, temu daje kamienicę, zwłaszcza w obecnych czasach, gdy czynszów podwyższać nie wolno, a podatki coraz to większe.

— Niema to — mówił z przejęciem — jak rolnicy!... Ci robią obecnie milionowe interesy i obdzierają nas, biednych mieszczuchów, ze skóry. Gdybym bodaj trochę znał się na gospodarstwie, a znalazł nabywcę na mą kamienicę, sprzedałbym ją natychmiast, przeniósł się na wieś, tutaj sadził ziemniaczki, buraczki, groszek i tak dalej, dołbłbym krówki, zbierał jajka i to wszystko przywoził do miasta i tutaj spieniężał po wysokich cenach... Odpocząłby sobie człowiek i przyszedł do siebie po trudach i kłopotach, z którymi na każdym kroku musi walczyć kamienicznik...

A muszę od siebie dodać, że jest to wzór pocziwego człowieka, który żyje według zasady „Módl się i pracuj“. Właśnie w tym czasie odmawia nowennę do św. Antoniego na intencję zniesienia zakazu podwyższania czynszów, przytem strzyże kupony od obligacji i wymienia je na gotówkę, za którą nabywa nowe realności i parcele, resztę zaś wolnego czasu obraca na użeranie się z administracją podatkową, magistratem i lokatorami.

Gdyż mu obwieścili, że w niedługim już czasie pojawi się rozporządzenie cesarskie, zezwalające na czterdziestoprocentowe podwyższenie czynszu, odetchnął, jakby mu kamień spadł z serca i rzekł:

— Za tę dobrą wiadomość ja panu pierwszemu o dwadzieścia procent...

— Zniżę czynsz! — dodałem.

— Cóż znowu! — zawołał oburzony. — Czy mnie ma pan za waryata, bym nie miał skorzystać ze sposobności?... Nie, panie! Ja i panu podwyższę, ale na razie tylko o dwadzieścia procent, innym zaś lokatorom odrazu o całe czterdzieści!...

W zupełnem przeciwieństwie do tak zwanych wielkich agraryuszów stoją mali, to jest wieśniacy. Ci bynajmniej nie narzekają na to, iż im się praca gospodarska nie opłaca, ale łamią sobie nad tem głowę, na co wydać zarobione pieniądze. Jak powiedział jeden ze znających nasze stosunki na wsi, od stworzenia świata nie było jeszcze nigdy w wiejskiej chacie tyle pieniędzy, ile ich jest obecnie. Wieśniaczka, no szcąca do mnie mleko, opowiedziała mi, iż onegdaj kupiła w którymś tam sklepie „na Brackiej“ szal za tysiąc dwieście czterdzieści koron i lamentowała, że droższego nie było. Coraz częściej spotyka się też nasze Kasie i Marysie z zębami, plombowanymi złotem, a od jednego z aptekarzy wiem, że one są właśnie najlepszymi odbiorczyniami na najdroższe mydła, perfumy i pudry.

Mój Boże!... Jak ta wojna wszystko do góry nogami wywróciła. Dawniej wieśniak śmiał się z miejskiego „krawaciarza“, gdy go widział myjącego się mydłem lub czyszczącego sobie zęby szczoteczką dziś sam idzie w jego ślady.

Z kolei zdarzyło mi się spotkać i narzekającego

na wojenne czasy „centralarza“, to jest pana, zajętego w pewnej centrali. Wiem z doświadczenia, iż wszystkim, służącym tym instytucjom, wymyślonym na utrapienie ludzkości, wiedzie się cudownie i byłem pewny, że każdy z nich prosi Pana Boga, by ta wojna trwała choć lat trzydzieści, jeśli nie dłużej.

Ale zawiodłem się. Ten właśnie, którego spotkałem, narzekał na swój los, utrzymując, że jest wyzyskiwanym, choć bowiem ma rzekomo naczelne stanowisko i *ex re* swego urzędu jest uwolniony od służby wojskowej, pobiera przecież tak śmiesznie niską płacę, iż, aby sobie móżdż od czasu do czasu pozwoić na kilkanaście deka kawiorki i buteleczkę oryginalnego Mumm'a, musi dokładać ze swych prywatnych funduszków.

Czy miał rację, tego powiedzieć nie mogę, ale to już niejednokrotnie słyszałem, iż wszelkim „centralarzem“ wiedzie się doskonale, że opływają we wszystko, czego nam brakuje, pozwalają sobie też na takie zbytki, na jakie nas nie stać.

Sam już spotykałem poważnych panów i czcigodne matrony, oferujących na sprzedaż różne niezbędne do życia artykuły, a gdym zapytał, skąd do nich przyszedli, gdy ja za nimi węszyć bez skutku od dłuższego czasu, nsiyszałem odpowiedź:

— Mam to od mojego kuzyna, który pracuje w centrali... Ponieważ zaś chwilowo tego nie potrzebuję, mogę zatem odstąpić po znajomości (no i naturalnie po... bardzo słonej cenie!...).

Do galerii narzekających z tego lub owego powodu na wojenne czasy muszę zaliczyć i dwu mistrzów, jednego od nożyc (radca stanu, czyli krawiec), drugiego od kopyta. Spotkałem ich w oazie „pod Palmą“, narzekających na ciężkie czasy i zalewających robaka naturalnie nie oryginalnym Mumm'em, ale zwykłą sznapiturą. Ale ów szelma robak nauczył się już pływać i nie sobie nie robi z zabiegów swych prześladowców. Owszem, im więcej polną wilgotności, tem swobodniej pływają i nurkują.

— Bo to, proszę pana literaty — mówił krytyk Apellesa — na nas, rękodzielników, straszne nadeszły czasy. Narzekają ludzie, że za parę kamaszków żąda się pięćset koron, a ja daję panna słowo, że jeśli policzę, to ledwie wyjdę na swoim!... Centrala daje nibyto skórę, ale tylko na papierze. Trzeba kupować z boku po wysokich cenach. A ile człowieka kosztuje utrzymanie!... Kamienicznik drze, rolnik drze, podatki trzeba płacić, nie też dziwnego, że wszystko musi się odbić na konsumencie!...

— Tak! Kolega ma rację — pan radca stanu na te. — Przecież my nie będziemy dopłacać z własnej kieszeni. Kto chce mieć trzewiki lub ubranie i nie chodzić po świecie z gołą głową, niech płaci!... I my jesteśmy ludźmi i my mamy swe potrzeby... Czytał pan zresztą co było w tej szmacianej centrali, więc nas chyba nie może pan winić!...

Częściowo przyznałem obydwu panom rację, są bowiem nieraz w trudnem położeniu, ale przecież nie w takim, by żywcem drzeć skórę z bliźniego i pomyślałem sobie, jak to dopiero musi narzekać na swą dolę urzędnik, choćby nawet o złotym koinierzu, mający niechajby i tysiąc koron miesięcznej płacy, a obarczony liczną rodziną, której trzeba dać mieszkanie, jedzenie i ubranie, nie mówiąc już o jakichkolwiek przyjemnościach. Ten ma chyba słuszny powód do narzekań i może o sobie powiedzieć, iż jest sztukmistrzem życiowym, jeśli potrafi związać koniec z końcem i zamknąć budżet miesięczny zerem, a nie deficytem. Ci jednak jakoś najmniej narzekają, bo i cóż im to pomoże?... Nie mają na to zresztą nawet i czasu, musząc staczać na każdym kroku walki o byt z swymi prześladowcami, do których śmiało można zaliczyć całą galerię owych typów, o jakich wyżej wspominałem. Tym jest dobrze, ale jęcząc głośno, by oddalić od siebie nawet pydejrzenie, że im się może nieźle powodzi, biedny urzędnik znosi swój los z poddaniem, siedzi cicho i czeka uwolnienia z tej opresji, gorszej stokrót, niż ongić babilońska niewola.

Byłbym niewdzięcznikiem, gdybym bodaj na samym końcu kroniki nie pomieścił jeszcze jednego narzekającego. Ten płacze, ilekroć zaczynają w powietrzu fruwać „jaskółki pokojowe“, a ceny towarów w ślad za tem spadają.

Każdy się zapewne już domyślił, że to „paskarz“, czyli „handlarz łańcuchowy“, robiący na wojnie doskonale interesy i proszący Boga, aby ona, jeśli nie będzie mogła trwać wieki, była choćby tylko trzydziestoletnią, a on dorobił się już raz upragnionego miliona, jeśli go zaś już posiada, to drugiego.

On narzeka tylko wtedy, gdy inni zaczynają na bierać otuchy.

